

## ROZDZIAŁ 1

# KONIEC DZIECIŃSTWA

Szanghaj w 1948 roku – to jest ostatnim roku panowania Chińskiej Partii Narodowej – był miastem skrajności. Byłem wtedy jedenastoletnim chłopcem, trzecim z ośmiorga rodzeństwa, małym jak na swój wiek, dużo czasu spędzającym nad książkami i żywo zainteresowanym baseballlem. Mieszkaliśmy w trzypiętrowym murowanym domu, przy zadrzewionej ulicy, w zamożnej części Zachodniej Dzielnicy Szanghaju. Codziennie rano rikszarz, zatrudniany przez ojca, podwoził mnie do chrześcijańskiego gimnazjum w dawnej francuskiej części miasta, oddalonej o około półtora kilometra od naszego domu. Wracał pod bramę szkoły około południa z kilkoma pojemnikami smacznego, ciepłego jedzenia, przyrządzonego przez naszego kucharza. Jadłem w osobnej klasie z garstką uczniów cieszących się podobnymi przywilejami, z dala od głośniejszej stołówki, w której inni koledzy wystawiali w niekończących się kolejkach. Po szkole ćwiczyłem kaligrafię pod okiem mojej macochy, po czym wybiegałem na dwór pobawić się z dziećmi, aż do wieczora, kiedy to służący wołał mnie na kolację.

Wczesne dzieciństwo upłynęło mi w niemal kompletnej nieświadomości biedy, przemocy i strachu, który towarzyszył większości mieszkańców ówczesnego Szanghaju. Rzadko miałem okazję wyjść poza moją najbliższą okolicę. Nie miałem pojęcia, że ledwie pół kilometra od mojego domu wózki co dzień o świcie zwoziły z ulic ciała tych, którzy zmarli w nocy od chorób i głodu. Pamiętam pewien niedzielny popołudniowy wypad w 1948 roku, kiedy to ojciec zabrał mnie do miasta, na ulicę Wangjing, do największego centrum handlowego, żeby kupić rękawicę baseballową.

Rikszarz zaparkował tuż przed wejściem, nie miałem więc najmniejszej sposobności obcowania, choćby przez chwilę, z tłumem na ulicach i nie dostrzegałem ewidentnych, zdawałoby się, problemów. Kiedy kupiliśmy rękawicę, myślałem tylko o tym, by co prędzej wrócić do domu i pograć z kolegami w baseball.

Pamiętam też szok, jakiego doznałem, gdy moja młodsza siostra pewnego razu przybiegła do domu z płaczem, bo zobaczyła martwe niemowlę, zawinięte w szmaty i porzucone na rogu pobliskiej ulicy. Ojciec tak skutecznie chronił nas przed biedą i nieszczęściem, że nie byłem świadomy inflacji, która wywołała paniczny szal zakupów w mieście w tamtym roku. Moje jedyne wspomnienie tłumów szturmujących szanghajske sklepy z ryżem, to wspomnienie zdjęć, które widziałem na łamach gazety „Życie”, którą ojciec prenumerował obok „Czasu” i „Szczęścia”.

Jako syn pomniejszego właściciela ziemskiego w bogatym i malowniczym mieście Wuxi, mój ojciec w młodości uczęszczał do chrześcijańskiego liceum, a potem studiował na Uniwersytecie św. Jana, prestiżowym college’u założonym w Szanghaju przez amerykańskich misjonarzy, który oferował liberalną edukację w zachodnim stylu i zajęcia w języku angielskim. Otrzymane tam wykształcenie ekonomiczne przygotowało ojca do wejścia w świat międzynarodowego handlu, dzięki czemu krótko po studiach został zastępcą dyrektora Banku Young Brothers, a później właścicielem przedsiębiorstwa. Nie wiedziałem wtedy nic o jego pracy i zarobkach, ale pamiętam, jaką dumę czułem, gdy kupił lodówkę marki Westinghouse i swoje podniecenie, gdy latem 1948 roku wpłacił zaliczkę na chevroleta. Nigdy nie myślałem o swojej rodzinie jako o bogatej, bo wielu moich kolegów ze szkoły żyło w jeszcze większych luksusach. Wydawało mi się normalne zatrudnianie trojga służących do pomocy macosze w pracach domowych i opiece nad ośmiorgiem dzieci.

Nasz styl życia, typowy dla górnych warstw szanghajskiej klasy średniej, odzwierciedlał dwukulturowe wykształcenie ojca. Zamiast twardej, rzeźbionych, palisandrowych krzeseł i stołów, stanowiących umeblowanie tradycyjnych chińskich domów, wybrał wyściełaną kanapę i gruby, wełniany dywan, kupił także fortepian, żebyśmy ja i moja starsza siostra mogli dwa razy w tygodniu pobierać lekcje gry. Czasami ojciec gościł swoich brytyjskich przyjaciół z banku zagranicznymi winami i koniakami, które trzymał w wypolerowanym na błysk barku w jadalni.

Jego życiowym hobby były polowania. W zamykanej na klucz szafce na strychu trzymał pięć dubeltówek. Miał także dwa pointery, które zabierał ze sobą na polowania na ptaki, na rozlewiskach w pobliskim Subei, i na kozy, na dzikich stepach Mongolii Wewnętrznej.

Mimo kosmopolitycznego stylu życia ojca, jego sposób myślenia pozostał bardzo tradycyjny. Ojciec uwielbiał sztukę i kolekcjonował zwoje autorstwa najśłynniejszych współczesnych malarzy. Najgłębiej w pamięć zapadła mi para dostojnych koni z namalowanego przez Xu Beihonga obrazu, który wisiał w salonie, oraz naturalnej wielkości portret legendarnej Yang Guifei w kąpieli, namalowany przez Zhang Daqiana, a także kompozycja z kwiatami i motylami pędzla Qi Baishi. Pamiętam też powagę, z jaką ojciec zamieniał swój zachodni garnitur i skórzane buty na tradycyjną długą szatę jedwabną w czasie Świąta Wiosny i jeszcze przy trzech innych okazjach w roku, by uczcić pamięć mojej matki. Również nam, dzieciom, kazał wówczas zakładać długie szaty.

O ile wiem, ojciec nigdy nie chodził do kościoła, za to nabożnie czynił zadość wszelkim tradycyjnym rytuałom rodzinnym. Co roku 5 kwietnia, w dzień sprząwania grobów, cała rodzina gromadziła się w jadalni, zaś służący kładli na końcu stołu ogromne ilości mięsa i warzyw. Patrzyłem z zachwytem i lękiem na te wszystkie kubki, świece, kadzidelka i na maleńką stelę z kości słoniowej z wygrawerowanym imieniem matki, używaną w czasie składania ofiar jej duchowi. Ojciec zaczynał ceremonię, napełniając winem ryżowym kilka kielichów, zapalając świece i kadzidła, po czym klękał na poduszce, by trzykrotnie oddać pokłon duszy matki. Wszyscy po kolei wykonywaliśmy te rytualne gesty, także nasza macocha.

Matka zmarła w 1942 roku, kiedy miałem pięć lat, pozostawiając ojca samego z piątką dzieci: mną, moją starszą siostrą i starszym bratem oraz dwiema młodszymi siostrami. Zawsze wychodziłem z założenia, że śmierć matki spowodowana była chorobą, choć nikt nigdy nie rozmawiał ze mną o jej faktycznych przyczynach. Wiele lat później starszy kuzyn powiedział mi w sekrecie, że matka zmarła w tajemniczych okolicznościach, po ostrej kłótni z ojcem – co zszokowało mnie szczególnie – podejrzewano samobójstwo. Ojciec nigdy ze mną o tym nie mówił, nigdy więc nie poznałem prawdy. Matki prawie w ogóle nie pamiętam, ale przypominam sobie, że początkowo odczuwałem lęk, gdy po roku od jej śmierci pojawiła się

w naszym życiu macocha. Jako dzieci byliśmy przekonani, że ta nowa kobieta będzie okrutna i samolubna, z przerażeniem myśleliśmy o wystawnym weselu, które ojciec planował urządzić w Park Hotel, nieopodal toru wyścigowego. Upierał się, że przedstawi nas krótko gościom na przyjęciu. Gdy riksarz przywiózł nas do domu, uciekliśmy do kuchni, bojąc się o własną przyszłość.

Ku memu zaskoczeniu, nasza nowa macocha przyszła po nas zaraz po ceremonii. Stała w drzwiach kuchni, ubrana ciągle jeszcze w długą, srebrną suknię z ozdobami z kości słoniowej, pogłaskała brata i mnie po głowie, po czym leciutko przyciągnęła do siebie najmłodszą siostrzyczkę i zaprowadziła nas na górę do łóżek. Od razu pokochałem tę cichą, pełną gracji kobietę, której ciepło i współczucie stanowiły przeciwwagę dla ojcowskiej wyniosłości i władczości.

Ojciec przywiązywał wielką wagę do edukacji i planował posłać wszystkie swoje dzieci do szkół prowadzonych przez misjonarzy. W 1946 roku zapisał moją starszą siostrę do słynnej Szkoły dla Dziewcząt pod wezwaniem Najświętszej Maryi Panny, jesienią 1948 roku zaś umieścił mojego brata i mnie w Szkole św. Franciszka. Nosiło się tam mundurki takie same jak w brytyjskich szkołach publicznych, składające się z granatowej marynarki z krzyżem na piersi, flanelowych spodni i skarpet do kolan. Naszymi nauczycielami byli księża i bracia z zakonu jezuitów. Jeden z nich w pierwszym tygodniu nauki wybrał mi imię Harry.

Zawsze uwielbiałem nauki ścisłe, w związku z czym szybko poczułem głębokie przywiązanie do włoskiego księdza, który prowadził lekcje fizyki i zajęcia laboratoryjne. Ojciec Capolito, przygarbiony mężczyzna po sześćdziesiątce, z gęstą, srebrną grzywką, zauważył pewnego dnia, jak obserwowałem z korytarza eksperymenty laboratoryjne starszej klasy. Pamiętam dotyk jego dłoni na mojej głowie, gdy pociągnął mnie do środka i pokazał pudełeczka, w których trzymał oszałamiającą kolekcję motyli. Kiedy na wiosnę zrobiło się cieplej, wypożyczał dla mnie rower i zabierał mnie w niedzielne popołudnia poza miasto, żebym mógł zdobyć swoje własne okazy. Zafascynowały mnie wówczas pszczoły i szybko nauczyłem się rozpoznawać wiele ich gatunków po kształtach i znakach na pancerzykach. Uwielbiałem także obiady w postaci chleba, szynki i dżemu, które ojciec Capolito zabierał na nasze wyprawy, obok kartonów owoców i mleka.

Wiosną 1949 roku zażarta wojna domowa między komunistami a nacjonalistami przesuwiała się coraz bliżej Szanghaju. Po zajęciu przez wojska komunistów, pod przywództwem Mao Zedonga strategicznych miast północnych – Baodingu, Tianjinu i Pekinu – pod koniec 1948 roku, wielu liderów politycznych i biznesmenów z Szanghaju kupowało za duże pieniądze bilety lotnicze do Hongkongu i przygotowywało się do ucieczki wraz z całym swym złotem i innymi kosztownościami. W naszej obecności ojciec nigdy nie wspominał o tych wydarzeniach politycznych. Nie chciał, byśmy się martwili i by zajmowało nas cokolwiek innego niż nauka. Pewnego wieczoru podsłuchałem, jak mówił macosze, że nie obchodzi go, czy rząd jest kapitalistyczny, czy komunistyczny. Ludzie z wiedzą i zasadami moralnymi zawsze zostaną docenieni, zapewniał ją, niezależnie od tego, kto znajdzie się u władzy.

Ukształtowany przez konfucjańską tradycję, pielęgnowaną w jego rodzinie, ojciec wierzył, że rozwiązanie chińskich problemów społecznych i politycznych musi zaczynać się od właściwej postawy. Pozostawał nieugięty i wyniosły obojętny w kwestiach polityki, nigdy nie słyszałem, by wygłosił jakąkolwiek opinię dotyczącą wyniku walk. Powiedział nam kiedyś, że odrzucił propozycję jednego z brytyjskich kolegów z branży bankowej, oferującego, że zabierze mnie i mojego brata do Hongkongu, by chronić nas przed możliwym rozlewem krwi i odwetem, który mógł nastąpić po zwycięstwie stronnictwa komunistów. Rodzina ma pozostać razem, oznajmił. Naszym jedynym obowiązkiem jako dzieci było uczyć się pilnie, pracować nad samodyscypliną i pielęgnować surowe zasady moralne. Nieważne, która partia dojdzie do władzy, powinniśmy być uczciwi, niezależni i pracować ciężko dla dobra kraju. To były wartości, którymi żył ojciec.

Przez kilka tygodni w kwietniu i na początku maja widywaliśmy ojca wychodzącego z domu nocą z kijem i latarką. Wiedzieliśmy, że zwerbował grupę ludzi, by patrolować ulice, starając się chronić nasze domostwa przed splądrowaniem lub podpaleniami, dokonywanymi przez grasujących nacjonalistycznych dezertersów, którzy usiłowali uciec na południe przed nadejściem Armii Ludowo-Wyzwoleńczej. Któregoś popołudnia z podnieceniem podpatrzyłem, jak ojciec czyścił i oliwił jedną ze swych strzelb, ale nigdy później nie zdjął jej ponownie ze stojaka. 24 maja musiał przeczuwać, że coś się wydarzy, bo wysłał nas wszystkich

do łóżek tuż po kolacji. Jakoś przed północą usłyszałem głośnie kroki, zmierzające po schodach na trzecie piętro, gdzie mieścił się mój pokój, dzielony z bratem. Ojciec wtargnął do środka w towarzystwie czterech mężczyzn z sąsiedztwa, przykazując nam, byśmy nie ruszali się z łóżek i byli cicho. Nasz pokój miał balkon z widokiem na ulicę. Mężczyźni stali w środku, wyglądając na dwór zza ciężkiej, długiej do ziemi zasłony.

Przez chwilę starałem się zapaść w sen, kołysany ich cichymi głosami. Wtem ktoś krzyknął: „Idą, idą!”. Podskoczyłem i stanąłem obok ojca. W słabym świetle latarni ulicznych, widziałem żołnierzy z armii nacjonalistów, uciekających z miasta w rozsypce, niektórzy na własnych nogach, inni dziupami. Minęła może godzina, a pojawiły się oddziały Armii Ludowo-Wyzwoleńczej, maszerujące dwójkami w zwartych kolumnach w kierunku centrum miasta. Ojciec wydawał się być pod wrażeniem ich dyscypliny i poczuł ulgę, że udało się uniknąć przemocy.

Rano radio nadało komunikat, że szkoły i biura będą zamknięte przez cały dzień, ale ojciec mimo to wyszedł wcześniej, by zobaczyć, co stało się w jego banku. Gdy wrócił wieczorem, wyglądał na całkiem uspokojonego. Usłyszałem, jak mówił do macochy, że na ulicach panuje spokój, sytuacja jest bardzo dobra, że zaczyna się nowa epoka. W tej chwili optymizmu i rosnącego poczucia bezpieczeństwa nie domyślałem się, że dzieciństwo, jakie znam, wkrótce stanie się przeszłością.

Przez ponad rok życie naszej rodziny przebiegało bez większych zmian. Rodzice podkreślali, że mamy być bardzo uprzejmi, gdy „ciocie” z nowego komitetu mieszkańców przychodziły z wizytą. Pamiętam też, jak ojciec oddawał swoje strzelby myśliwskie podczas „kampanii przeciw kontrrewolucjonistom” na początku 1950 roku, kiedy to broń znajdująca się w prywatnych rękach była konfiskowana przez Biuro Bezpieczeństwa Publicznego. Poza tym wszystko toczyło się u nas jak dawniej.

Co wieczór przed kolacją jeden służący wołał nas, dzieci, do stołu, podczas gdy drugi wnosił z kuchni parujące półmiski mięsa i warzyw oraz wagę zupy. Dopiero kiedy siedzieliśmy prosto, w milczeniu, ze splecionymi dłońmi, trzeci służący wywoływał ojca z jego gabinetu na górze. Zawsze czekaliśmy z jedzeniem do momentu, gdy ojciec weźmie do ręki pałeczki. A potem czekaliśmy jeszcze niecierpliwiej, aż wstanie od stołu, żebyśmy mogli zacząć rozmawiać, sprzeczać się i pochłonać resztę jedzenia. Po kolacji na pół godziny szliśmy do pokoi rodziców, żeby

pogadać i pośmiać się wspólnie, zanim wrócimy do zadań domowych. Uwielbiałem tę część dnia. To były jedyne chwile, gdy widziałem ojca odprężonego.

Tamtego roku w szkole nauczyłem się grać w piłkę nożną i pływać, zacząłem też studiować religię rzymskokatolicką, za namową ojca Capolito. Najbardziej przekonywała mnie do tej obcej wiary łagodność, uczciwość i spokój księży. Ojciec Capolito traktował swoich kolegów jak braci, a mnie jak syna. Chodziłem na jego lekcje katechezy, a w 1950 roku, ochrzczony i bierzmowany, zacząłem z radością uczestniczyć w różnych kościelnych przedsięwzięciach w szkole.

Tymczasem partia komunistyczna dążyła do mobilizacji opinii publicznej w Szanghaju przeciwko „zagranicznym imperialistom”. Decyzja prezydenta Trumana z marca 1950 roku o wysłaniu Siódmej Floty, by patrolowała Cieśninę Tajwańską, została odebrana jako umyślna prowokacja i zagrożenie dla wywalczonej z takim trudem niepodległości Chin. Kiedy w październiku 1950 roku wybuchła wojna w Korei, nas, uczniów, ogarnął patriotyczny gniew i oburzenie. Nienawidziliśmy Stanów Zjednoczonych, „wroga numer jeden” Chin, poważaliśmy zaś naszego „wielkiego brata”, Związek Radziecki.

Z ust naszych politycznych instruktorów słyszeliśmy porywające opowieści o heroicznym poświęceniu chińskiej armii na froncie koreańskim, a także relacje o osiągnięciach Komunistycznej Partii Chin w kwestii dystrybucji ziemi wśród chłopów, zmniejszenia przestępczości w miastach i stabilizacji waluty. Czuliśmy się winni i żal nam było wyzyskiwanych klas w starym społeczeństwie, przysięgaliśmy więc pomóc partii budować nową, świetlaną przyszłość. Gdybym miał skończone piętnaście lat, z pewnością zgłosiłbym się na ochotnika do służby na froncie w Korei, jak niemal wszyscy starsi koledzy ze szkoły, ale brakowało mi dwóch lat.

Nie żywiłem wówczas zbyt wielkiej sympatii do Ameryki. Jedynym pozytywnym jej obrazem był Wujek Sam, którego pamiętam z wczesnego dzieciństwa, z okresu II wojny światowej, kiedy to Chiny i USA były sojusznikami w walce przeciw Japonii. W dniach okupacji Szanghaju podniekscytowany obserwowałem z dachu amerykańskie P-51, przelatujące w szyku nad rzeką Huangpu, a potem rozpraszające się, by zrzucić bomby na japońskie instalacje. Pamiętam jeszcze, że kilkukrotnie w gimnazjum,

już po zakończeniu wojny w 1945 roku, otrzymaliśmy przydział racji żywnościowych od amerykańskiej armii. Któregoś razu próbowałem zabrać do domu dwadzieścia takich wodoodpornych opakowań żywnościowych. Każde z nich zawierało puszkę mięsa, małą łyżeczkę, parę herbatników, masło, dżem i nawet dwa papierosy. Wyobrażałem sobie, że amerykańscy żołnierze muszą wieść cudowne życie, skoro jadają takie pyszne rzeczy.

Tej samej jesieni 1950 roku w naszym szkolnym programie pojawiły się dwa nowe przedmioty. Na jednej z tych lekcji uczono nas teorii ewolucji Darwina, a na drugiej teorii rozwoju społecznego Marksa. Pewnego dnia, krótko po tym, jak został zwolniony, ojciec Capolito zabrał mnie do laboratorium. Zdjął ze ściany dwie oszklone witryny z okazami motyli, mówiąc, żebym je zatrzymał. Zachwycony, pędem ruszyłem do domu z moim skarbem, ale ojciec Capolito przywołał mnie z powrotem.

– Musisz opiekować się swoimi zbiorami – powiedział łagodnie, kładąc mi rękę na głowie. Nie myślałem, że był to prezent pożegnalny. Kilka dni później zapytałem brata Xu, chińskiego nauczyciela, który nagle przejął pieczę nad laboratorium, co się stało z ojcem Capolito.

– Musiał pojechać do domu i odpocząć – brzmiała uprzejma odpowiedź. Dopiero po wielu miesiącach dotarło do mnie, że ojciec Capolito nigdy nie wróci do Chin.

Na początku 1952 roku wszyscy uczniowie z mojej szkoły brali udział w ogromnej wystawie fotografii i dokumentów, demaskujących „zbrodnie zagranicznych imperialistów, którzy używali religii przeciwko chińskiemu ludowi”. Prezentacje poruszyły mnie do głębi, zwłaszcza trzy wywarły niezatarte do dziś wrażenie. Pierwszą z nich była kolekcja broni – noży, pistoletów, był tam nawet granat – rzekomo znalezionej w chrześcijańskich kościołach w mieście, co miało stanowić dowód na to, że zagraniczni misjonarze byli w istocie imperialistycznymi agentami i szpiegami. Drugą był zbiór fotografii cierpiących chińskich dzieci z sierocińców prowadzonych przez misjonarzy. Przypominam sobie zdjęcie amerykańskiej zakonnicy, spożywającej obfity posiłek z chlebem i mlekiem, podczas gdy kilkoro wygłodzonych chińskich dzieci stoi wokół niej i patrzy. Inne zdjęcie przedstawiało cmentarz dla chińskich dzieci przy misjonarskim sierocińcu. Nie wiedziałem wtedy, że wiele z tych dzieci trafiło do sierocińców w ostatnich stadiach choroby i głodu, a zakonnice po prostu nie były



w stanie ich uratować. Najbardziej jednak zszokował mnie zbiór listów i fotografii, dokumentujących jakoby intymne relacje między zagranicznymi duchownymi a chińskimi kobietami. Tytuł, wypisany wielkimi literami, brzmiał: „Wilki w zakonnych habitach”.

W pierwszych miesiącach 1952 roku w Szkole św. Franciszka nie pozostał już żaden zagraniczny nauczyciel. Funkcję dyrektora powierzono Chińczykowi, niektórzy z chińskich duchownych zostali aresztowani, a reszta porzuciła czarne sutanny i krucyfiksy na rzecz świeckich strojów. Zmieniono nazwę szkoły i odtąd uczęszczałem już do Szkoły Podstawowej „Czas”. Nowy dyrektor służył w Nowej Czwartej Armii Komunistycznej, każda klasa dostała też instruktora politycznego, który miał nas uczyć teorii marksizmu-leninizmu.

Również w 1952 roku, wraz z nasileniem się działań propagandowych przeciw obcokrajowcom, zaczęły się kłopoty ojca. Oficjalnie ogłoszono tak zwaną kampanię „trzech anty”, jedną z wielu politycznych kampanii zainicjowanych po 1949 roku celem wyeliminowania politycznej opozycji, pod pretekstem zwalczania „potrójnego zła” – korupcji, biurokratyzmu i marnotrawstwa. Nowa kampania była wymierzona w całą klasę kapitalistów – nie tylko w zagranicznych misjonarzy i biznesmenów, ale również ich „wierne psy”, czyli wszystkich Chińczyków, którzy nawiązali bliższe relacje z Zachodem.

Pewnego wieczoru wiosną 1952 roku ojciec nie wrócił do domu. Nie mieliśmy pojęcia, co się stało ani dokąd poszedł. Służący nadal co dzień przygotowywali mu nakrycie, ale kiedy zajmowaliśmy miejsca przy stole, macocha dawała znak, byśmy od razu zaczęli jeść. Ona sama nigdy nie tknęła jedzenia, widzieliśmy przyczajony w jej spojrzeniu lęk. Z przyzwyczajenia o nic nie pytaliśmy. Zamiast tego przesiadywaliśmy po kolacji w sypialni macochy, rozmawiając po cichutku, bez kłótni, starając się ją pocieszyć.

Ojciec wrócił po miesiącu. Pewnego wieczoru po kolacji po prostu wszedł do salonu i nigdy potem słowem nie wspomniął o tym swoim zniknięciu. Dopiero rok później macocha powiedziała nam, że był zamknięty w gabinecie w swoim banku i całymi dniami wypytywany przez partyjnych działaczy o rzekome przestępstwa finansowe, popełnione przez dyrektora banku. W przeciwieństwie do wielu innych, którzy ulegli presji, ojciec odmówił złożenia fałszywych zeznań i utrzymywał,

że jego szef nie zrobił nic złego. W końcu ojca wypuszczono, ale dyrektor banku, niesłusznie oskarżony o defraudację, spędził kolejne pięć lat w więzieniu.

Po tym wydarzeniu ojciec został oficjalnie zdegradowany i przydzielony do pracy jako urzędnik w mniejszym banku, ze znacznie niższym wynagrodzeniem. Wiedziałem, że moi rodzice z trudem wiążą koniec z końcem, by wykarmić taką gromadkę dzieci i opłacić ich edukację. Ojciec sprzedał riksę i zwolnił rikszarza. Potem musiał zrezygnować ze służących. Któregoś dnia zniknął fortepian, następnie dywan, kanapa i lodówka. Zjawiła się ekipa, by odłączyć telefon na parterze, tak że pozostał tylko jeden, na górze. Czasami widzieliśmy, jak macocha wychodziła z domu z paczką pod pachą. Wiedzieliśmy, że sprzedawała biżuterię i dzieła sztuki, żeby pokryć domowe wydatki.

W 1954 roku władze partii, desperacko poszukujące kompetentnego personelu po ukaraniu tylu „kapitalistów”, chciały ponownie awansować ojca na wicedyrektora banku, ale odmówił. Zamiast tego oznajmił, że chce odejść z branży bankowej i zaczął uczyć angielskiego w pobliskiej szkole.